

# Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/104719,Bezkompromisowy-grudniowy-Kustosz-Adam-Gotner-19452020.html>



Gdyńska Droga Krzyżowa, rok 1995. Fot. Maria Pachaly / ze zbiorów M. Sokołowskiej

## BIOGRAM / BIOGRAFIA

### **Bezkompromisowy grudniowy Kustosz. Adam Gotner (1945-2020)**

## OKRES HISTORYCZNY

(1970-1980) Od Gdańska do Gdańska

**Autor: MAŁGORZATA SOKOŁOWSKA 18.12.2023**

Adam Gotner w grudniu 1970 r. miał 26 lat. Był pracownikiem Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni i uczniem szkoły wieczorowej. 17 grudnia otrzymał sześć ran postrzałowych, przechodzących na wylot klatki piersiowej lewego

barku, z rozerwaniem płuca, złamaniem łopatki i kości ramiennej. Był całym sercem oddany misji, którą dla niego były sprawy związane z pielęgnowaniem pamięci o Grudniu '70.

„Szedłem, deptając po ludzkich ciałach, a karabin maszynowy nadal strzelał, widocznie nie wyczerpał jeszcze amunicji. Dotarłem do filarów pomostu i poczułem, jak chwyta mnie jeden z kolegów. Pomyślałem, że jestem już bezpieczny i mogę sobie zemdleć. Czułem jeszcze, jak wloką mnie po bruku i wkładają do zakładowego samochodu Nysa. Drogi do szpitala nie pamiętam. Samochód zatrzymał się przed szpitalem na Migały obok trupiarni – przynajmniej tak mi się zdawało. Otworzyły się boczne drzwi, zobaczyłem przed nosem pistolet, a trzymający go oficer wojskowy – widziałem na pagonach gwiazdki – wrzeszczał coś po niemiecku”.

Adam Gotner w grudniu 1970 r. miał 26 lat. Był pracownikiem Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni i uczniem szkoły wieczorowej. Był też pierwszą osobą, której grudniową relację spisała Wiesława Kwiatkowska, od jesieni 1980 r. do stanu wojennego pracująca w Sekcji Historycznej Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” (skazana w stanie wojennym za tę pracę na pięć lat więzienia).

Dramatyczne wydarzenia wdrukowują się ze szczegółami w pamięć na zawsze. Amerykański neurochirurg Larry McCleary w książce *Trening mózgu* (wydanej u nas w 2008 r.) napisał:

„Im więcej emocji wywołuje dane zdarzenie, tym mocniejsza i bardziej żywa jest pamięć epizodyczna z tym związana. Przykładowo, jeżeli jesteś Polakiem i pamiętasz 13 grudnia 1981 r., prawdopodobnie potrafisz bez wahania odpowiedzieć na pytanie, gdzie byłeś, kiedy wprowadzono stan wojenny. Wydarzenia będące punktem zwrotnym w historii generują tak zwaną pamięć błyskową, która jest rezultatem powstania w jednej chwili (w wyniku takiego zdarzenia) trwałych połączeń pomiędzy komórkami mózgowymi”.

Relacja Adama Gotnera, której się przysłuchiwałam za zgodą mojej mamy Wiesi Kwiatkowskiej<sup>1</sup>, była bardzo szczegółowa i pełna emocji, choć mówił o tym tak otwarcie po raz pierwszy – wcześniej władza ludowa uciszała i zastraszala.



**Milicyjna i wojskowa blokada  
wiaduktu nad torami na  
przystanku Gdynia-Stocznia, 17  
grudnia 1970 r. Fot. ze zbiorów  
M. Sokołowskiej**

## **Pamięć błyskowa**

Opowiadał Adam Gotner:

„W sobotę 12 grudnia po stoczni krążyła plotka o podwyżce cen na artykuły żywnościowe, po południu dało się to zauważyć w sklepach, gdyż ludzie masowo wykupywali towary. Wieczorem był oficjalny komunikat potwierdzający podwyżki oraz... obniżki cen lokomotyw. Mieszkałem na kwaterze wraz z trzema kolegami pracującymi również w stoczni. Położyliśmy się spać i długo dyskutowaliśmy na głodniaka, bo nikt z nas nie mógł niczego kupić ze względu na ogromne kolejki w sklepach. W niedzielę 13 grudnia wszystkie sklepy były pozamykane, bo przeprowadzano w nich remanenty (tydzień przed świętami powinny być otwarte).

Pojechałem do Wejherowa z nadzieją, że tam coś dostanę do jedzenia. Bezskutecznie. Byłem wtedy pracownikiem wydziału K-3, czasowo oddelegowanym na kurs spawalniczy przy SKP [Stocznia im. Komuny Paryskiej] w celu podniesienia kwalifikacji i jednocześnie uczniem wieczorowego Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku Wrzeszczu. 14 grudnia po południu na zajęciach lekcyjnych dowiedziałem się od kolegów o wystąpieniach grupy robotników w stoczniach gdańskich. Po zajęciach wraz z grupą kolegów udaliśmy się do centrum Gdańska sprawdzić, co się tam dzieje.

W okolicach dworca głównego w Gdańsku zobaczyłem ogromne tłumy, które na przemian parły w kierunku budynku KW PZPR, a stamtąd milicja szturmowa rozpędzała je w kierunku mostu Błędnik. Była to przepychanka raz w jedną, raz w drugą stronę. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłem, że cofająca się milicja rozbijała szyby wystawowe pałkami, a biegnące między uczestnikami dzieci zabierały z okien wystawowych

cukierki. Wieczorem zrozumiałem, jaka jest taktyka milicji, i najbliższą kolejką pojechałem do domu. Prześiąknięte gazem ubranie nie przekonało jednak moich kolegów do uwierzenia mi.

Następnego dnia rano udaliśmy się do pracy. Wydział K-3 był prawie pusty i tam dowiedziałem się, że stoczniowcy wyszli na zewnątrz. Po południu pojechałem do szkoły w Gdańsku – na drzwiach kartka, że zajęcia zostały przerwane do odwołania. Odgłosy wystrzałów i zapach gazów łzawiących, widok robotników w kombinezonach na dworcu Gdańsk Politechnika – pchała mnie ciekawość, aby pojechać jeszcze dalej i zobaczyć na własne oczy, co się dzieje.

Przed dworcem w Gdańsku stali milicjanci i kazali wychodzącym szybko przechodzić na drugą stronę, po której odbywało się już pałowanie niewinnych pasażerów. Mnie udało się jakoś nie oberwać, schowałem się w bramie hotelu Monopol, lecz widok pałowanych kobiet i osób starszych był straszny. Próbowałem przedostać się z powrotem, lecz było to niemożliwe. Drogę zagraadzały oddziały milicji, które czekały na wysiadających z kolejki ludzi i ich pałowały. Chciałem się przedostać do stojącego tłumu za hotelem Monopol, jakoś się to udało”.

## **Patrzyliśmy sobie w oczy**

„W środę wykombinowałem sobie, aby pójść do lekarza i otrzymać skierowanie do specjalisty w przychodni portowej na Chrzanowskiego. Nie była to potrzeba, lecz nieodparta chęć uczestniczenia w wydarzeniach, bo do tej pory byłem tylko gapiem. I tym razem się nie udało, bo w tym dniu wszyscy pozostali w stoczni, a z tego co słyszałem, na zewnątrz wychodziły tylko niewielkie grupy. Na skrzyżowaniu ulic Marchlewskiego, Polskiej i Czechosłowackiej zobaczyłem dużo sprzętu wojskowego opancerzonego. Na rogu był kiosk, a przy nim żołnierze stojący w kolejce, głównie kupowali chleb. Po butach i krótko przystrzyżonych włosach widać było, że jest to młody rocznik.

Żołnierze rozmawiali niechętnie, lecz można się było dowiedzieć, że przyjechali wprost z poligonu i są z Kołobrzegu. Byli głodni, nie wszyscy mieli pieniądze, kobiety wykupywały chleb, ser, dżem z kiosku i rozdawały im. Po drodze do przychodni widziałem, jak robotnicy portowi oddawali swoje śniadania żołnierzom, podając je konspiracyjnie, ponieważ żołnierze mówili, że nie wolno im rozmawiać z cywilami. Na uwagę jednego mężczyzny, żeby im nie dawać jedzenia, inny odpowiedział, że też ma syna w wojsku i nie wie, gdzie on teraz może być i czy też nie jest głodny. Takich i podobnych scen w drodze do przychodni było wiele.

Ze zrozumiałych względów – choć sprzęt wojskowy stał na ulicy tuż przy samych krawężnikach – żołnierze

nie pozwalali się do niego zbliżyć.

Widok ten był dla mnie trochę dziwny, bo przypominał obrazki z jakiejś dziwnej rewolucji: z jednej strony byli żołnierze obwieszani taśmami z ostrą amunicją, z drugiej – siedzący na rampach robotnicy portowi. Jedni przeciw drugim, lecz jedni i drudzy rozumiejący się.

Wróciłem do stoczni i ok. godz. 14.00 wychodziliśmy do domów. Na skrzyżowaniu przy pomoście mała zmiana – do żołnierzy dołączyły oddziały milicji na samochodach. Przechodząc, patrzyliśmy sobie w oczy, lecz odbyło się to w spokoju.

W czwartek 17 grudnia wstałem wyjątkowo wcześnie, poprzedniego dnia przygotowałem sobie czystą bieliznę »na wszelki wypadek«. Jadąc kolejką, usłyszałem na przystanku Wzgórze Nowotki komunikat przez megafon o tym, że stoczniowcy mają wracać do domów, bo stocznia przerwała pracę. Było to dla mnie oczywiste, ponieważ już od trzech dni nie było żadnej pracy na stoczni i był w niej coraz gorszy bunt, a mimo to obowiązek nakazywał iść do pracy i punktualnie z niej wychodzić. Sądzę, że nikt nie zdawał sobie absolutnie sprawy z faktu, że to jest właśnie taki strajk, gdy się idzie do pracy i nie pracuje.

Gdy usłyszałem komunikat przez kolejowe megafony, ucieszyłem się nawet, że będę mógł się porządnie wyspać. Przesiadłem się do kolejki jadącej w przeciwną stronę, ale nią nie pojechałem. Przez myśl mi przeleciało, że może to być prowokacja – nie wiadomo, kto to właściwie mówi, a w pamięci miałem wczorajsze nawoływanie telewizyjne Kociołka. Na stacji stały dwie kolejki, trzeba się było szybko decydować, w którą stronę jechać, zresztą ta informacja wprowadziła pewien zamęt na peronie. Zdecydowałem jechać jednak do stoczni.

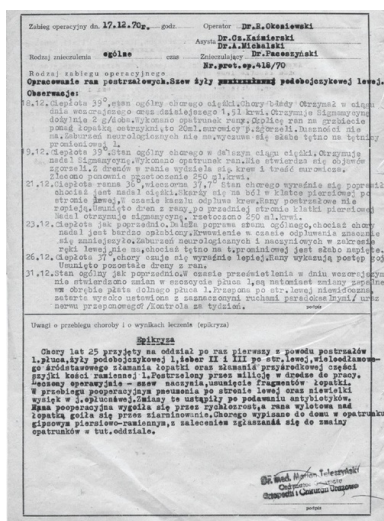
Na stacji Gdynia Stocznia wysiadłem na peron i udałem się do przejścia na wiadukt. Dotarłem do schodów prowadzących na pomost i zobaczyłem, że nie ma żadnych szans na przejście, taki był tłum i ścisk. Wszedłem ponownie do wagonu i poprzez przeciwne drzwi skoczyłem na płot i przeskoczyłem na chodnik przy ul. Marchlewskiego. Przeszedłem na drugą stronę i minąłem pomost.

W tym momencie rozległ się donośny głos przez megafon, zainstalowany na czołgu stojącym na rogu Marchlewskiego, o tym, że praca w stoczni przerwana i stoczniowcy mają wracać do domów. Zatrzymałem się z kolegą, także idącym do pracy i razem oparliśmy się o barierkę po prawej stronie wiaduktu. Widziałem, że droga jest zagrodzona czołgami i sprzętem wojskowym tak, że mysz by się nie prześlizgnęła, i zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej. W tym momencie rozległy się strzały z karabinu maszynowego – widać było wyraźnie tor pocisków lecących w górę, a także potężny wystrzał z armaty czołgu. Zrobiło to wrażenie, ale nigdy bym nie uwierzył, że za chwilę te strzały będą skierowane w ludzi. Bo i po co? Z oceny sytuacji wynikało jasno, że nie ma potrzeby użycia broni maszynowej przeciwko ludziom, ponieważ nic takiego się nie działo, co by to uzasadniało.

Stwierdziliśmy jednak, że nie ma po co stać i trzeba wracać do domu. W tym momencie z czołgu na wprost nas – to jest stojącego od strony ul. Polskiej – poszła seria z broni maszynowej. Torów pocisków już nie było widać, tylko zięjący ogień z lufy karabinu maszynowego z prawej strony od mechanika kierowcy. Ludzie wokół mnie zaczęli padać. Schyliłem się do leżącego mężczyzny z rozwaloną głową i podkurczonymi

nogami. Chciałem mu pomóc wstać, chwyciłem go obiema rękami – ale że w lewej nie miałem czucia, puściłem go i zacząłem obmacywać lewą rękę. Pomyślałem, że jest urwana, więc włożyłem ją między kolana i chciałem ją wyciągnąć z rękawa, ale nie udało się. Wyprostowałem się, przed oczami migają mi obrazy z całego mojego życia, ze szczegółami, o których już nie pamiętałem. Miałem poczucie zbliżającej się śmierci, chciałem podejść do czołgu i położyć się na wciąż ziejącą ogniem lunę karabinu. Nie umiem sobie dzisiaj wytłumaczyć, dlaczego odstąpiłem od tego zamiaru, widocznie przeważyła chęć życia i poszedłem w odwrotnym kierunku”.

Dotarł do filarów pomostu i gdy chwycił go jeden z kolegów, zemdłał. Odzyskał przytomność w momencie, gdy wiozący go furgon został zatrzymany przez grupę wojskowych, kilkanaście metrów od wejścia głównego do Szpitala Miejskiego.



**Karta wypisowa Adama Gotnera wraz z epikryzą z 31 grudnia 1970 r. Fot. AIPN**

Oficer dowodzący bojówką otworzył drzwi samochodu, przyłożył Gotnerowi pistolet do głowy i wrzeszczał coś po niemiecku – w wojsku rozpowszechniano informację, że to rewizjoniści, którzy w Trójmieście malowali napisy:

„Przyjeżdżaj Hitlerze na rowerze, bo Gomułka nam mięso bierze”.

Stojące przy wejściu do szpitala pracownice odepchnęły oficera od samochodu.

„To są ranni stoczniowcy, trzeba ich ratować, nie ważcie się ich ruszać! Lepiej oddajcie krew”

- krzyczały.

Oficer odsunął się od drzwi samochodu. Na sali operacyjnej lekarze ortopedzi Roman Okoniewski i Czesław Kaźmierski stwierdzili u Gotnera sześć ran postrzałowych przechodzących na wylot klatki piersiowej lewego barku, z rozerwaniem płuca, złamaniem łopatki i kości ramiennej.

Gdy ocknął się po operacji i na sąsiednim łóżku zobaczył młodego, bladego mężczyznę, był pewien, że to funkcjonariusz MO. Mężczyzna przyznał, że jest milicjantem i dostał postrzał w brzuch.

„W pierwszym odruchu chciałem zrobić mu krzywdę, chwycić za coś, rzucić, ale przecież nie mogłem się poruszać. Milicjant nie od razu zareagował na moje słowa, odwrócił głowę w stronę ściany, by po chwili powiedzieć, że jest niewinny. Powtarzał to wiele razy... Pielęgniarka postawiła między nami parawan. Po godzinie milicjanta przeniesiono w inne miejsce. Dopiero później się dowiedziałem, że położyli go w separacie na kobiecym oddziale chirurgicznym. Był to pacjent »szczególnej troski«, którego następnego dnia, pod opieką lekarza MSW, zabrano do szpitala w Gdańsku”

- opowiadał Gotner.



**Obchody pierwszej rocznicy  
Sierpnia '80 w Stoczni im.  
Komuny Paryskiej w Gdyni. Adam  
Gotner z lewej. Fot. AIPN**

## **Sierpień po Grudniu**

Po długiej kuracji Gotner wrócił do pracy w stoczni i milczał, aż nadszedł Sierpień '80, gdy stanęła Stocznia Gdańska im. Lenina. W stoczni gdyńskiej samotny Andrzej Kołodziej, w nowym kombinezonie roboczym (był w pracy pierwszy dzień) z plikiem ulotek w ręku krążył od brygady do brygady, namawiając napotkanych stoczniowców do rozpoczęcia strajku. Przekonywał o jego zasadności i potrzebie solidarności z gdańskimi robotnikami.

Stoczniowiec Adam Gotner zapamiętał ten moment tak:

„Kiedy w 1980 r. pochód szedł w stronę bramy, był to dla mnie wielki dramat. Potwornie się bałem. Za wszelką cenę chciałem coś wymyśleć, by nie dopuścić do wyjścia ludzi na ulicę. Już tylko metry dzieliły ich od bramy. Naraz jeden z prowadzących pochód rękoma pokazał, żeby się zatrzymać. Zatrzymali się. A on najnormalniej w świecie podszedł do bramy i zamknął ją. To był Kołodziej. Poczułem wielką ulgę, wdzięczność i zdziwienie, że mnie nie przyszła do głowy ta najprostsza czynność”.

Od 10 września 1980 r. Gotner był jednym z członków założycieli Społecznego Komitetu Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni, a w 1990 r. – członkiem założycielem Fundacji Ochrony Zdrowia przy NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdynia SA oraz Fundacji na rzecz Bezpieczeństwa (inicjowanej przez Radę Miasta), działał w Fundacji Pomocy Stypendialnej ks. Hilarego Jastaka.





**Strajki sierpniowe 1980 r. -  
zamknięta brama stoczni  
gdyńskiej. Fot. ze zbiorów M.  
Sokołowskiej**

Po upadku PRL Społeczny Komitet Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni wznowił działalność przerwana stanem wojennym. Jego przewodniczącym został Adam Gotner (zastępcami Janusz Śniadek, Jan Netzel i Szymon Pawlicki). Komitet odzyskał zagrabione w stanie wojennym mienie i siedzibę, a także dawną lokalizację pod pomnik. Jeszcze przed reaktywacją Komitet zorganizował obchody 19. Rocznicy Grudnia '70 i po raz pierwszy ulicami miasta przeszła Gdyńska Droga Krzyżowa. Najważniejszym zadaniem nadal było wywiązanie się z podjętego zobowiązania i zbudowanie drugiego pomnika Ofiar Grudnia '70. Po wielu nieudanych próbach i niezwykle trudnych zabiegach stanął on w 23. rocznicę wydarzeń grudniowych.

W 1997 r., dzięki uporowi oraz determinacji ostatniego przewodniczącego Komitetu Janusza Śniadka, SKBPOG odzyskał pieniądze zrabowane mu przez komunistyczne władze w stanie wojennym. Ponieważ pomniki już stały - pieniądze, pochodzące wszak ze składek społecznych, przeznaczone zostały na społeczne cele. Kupiono za nie m.in. tomograf komputerowy dla Szpitala Miejskiego, w którym ratowano życie rannych w grudniu 1970 r., wyposażono obiekt stacjonarnego Hospicjum im. św. Wawrzyńca w Gdyni, dofinansowano Wioskę Dzieci Niepełnosprawnych w Kałkowie-Godowie, odnowiono rozrzucone po kraju groby Ofiar Grudnia. Komitet wypełnił wszystkie swoje zobowiązania i rozliczył się z każdej powierzonej mu złotówki.

### **Świadek w grudniowym procesie**

W 2002 r. Gotner zeznawał jako świadek w warszawskim sądzie przeciwko sprawcom grudniowej masakry:

„Wojsko blokujące w grudniu 1970 r. gdyńską stocznnię nie ostrzegło idących do pracy robotników, że może zacząć strzelać, jeśli nie wrócą do domów”

- zeznawał. Szczegółowo opowiadał o przebiegu wydarzeń od 14 grudnia 1970 r. (bezpośrednio po ogłoszeniu przez władze podwyżek cen żywności) aż do poranka 17 grudnia, gdy wojsko strzelało do robotników pod stocznia. Mówił, że z początku nie wierzył w to, iż wojsko może strzelać do ludzi i nie oddalił się z tego miejsca razem ze swym kolegą, który go do tego namawiał. Po chwili jednak chciał już odejść, bo z czołgu oddano

długą serię w kierunku demonstrantów.

„Seria była długa, trwała bez końca”.



**Adam Gotner po spotkaniu w piątą rocznicę śmierci Wiesławy Kwiatkowskiej, 2011 r. Fot. ze zbiorów M. Sokołowskiej**

### **Całym sercem oddany misji**

Gotner był bardzo skromnym człowiekiem, całym sercem oddanym misji, którą dla niego były sprawy związane z Grudniem '70, z pomaganiem rodzinom i pielęgnowaniem pamięci. Był – można powiedzieć – bezkompromisowym grudniowym kustoszem.

Ostatnie dziesięć lat był bardzo chory, pod serdeczną opieką żony Grażyny, syna Roberta i córki Małgorzaty. Z powodu tkwiących wciąż w jego ciele odłamków nie mógł być poddawany badaniom rezonansem magnetycznym. Lekarze przypuszczają, że jego stan był spowodowany tamtymi, grudniowymi ranami – gdy

utracił prawie całą krew.

Zmarł 16 października 2020 r., spoczął na gdyńskim cmentarzu Witomińskim.

Tekst pochodzi z numeru 12/2022 „Biuletynu IPN”

---

<sup>1</sup> Rozmowy z Adamem Gotnerem pochodzą z archiwów Wiesławy Kwiatkowskiej.

**COFNIJ SIĘ**